

Profesor i dziennikarze

Profesora Steinhausa pamiętam z moich pierwszych wrocławskich dni, które były ostatnimi dniami grudnia 1945, roku zakończenia wojny, kiedy w moim jeszcze dziecięcym życiu zmieniło się miejsce, szkoła, koleżanki i koledzy, a w życiu pokolenia moich Rodziców nastąpiły zmiany zasadnicze.

Rozmawiano o tym podczas spotkań w uniwersyteckiej stołówce „Mirus” przy ulicy Chałubińskiego, gdzie wtedy była siedziba Dziekanatu Wydziału Lekarskiego, a tymczasowo zajmowaliśmy jeden pokój – zastawiony skrzyniami z tułaczym dobrem przywiezionym ze Lwowa. Posiłki w „Mirusie” były okazją do wzajemnych relacji o tym, co komu udało się zrobić, żeby można wyklądać w salach z wybitymi szybami, żeby było gdzie zakwaterować chociaż część studentów, którzy zjechali do zrujnowanego miasta po różnych wojennych przeżyciach. Profesor Steinhaus przychodził i czasem zjadał obiad, czasem zabierał go w menażkach do domu na Biskupinie, dokąd dojeżdżał jedyny wrocławski tramwaj.

W następnym roku zamieszkaliśmy w tej samej dzielnicy, a po parunastu latach, po skończonych studiach na Uniwersytecie, już pozbawionym śladów pionierskiego trudu pierwszych przybyszów, zaczęłam pracę dziennikarską w Redakcji Popularnonaukowej wrocławskiej rozgłośni Polskiego Radia. Wielki Uczony – autor najlepszej książki (*Kalejdoskop matematyczny*) zbliżającej matematykę laikom, a właściwie profanom, bo kto z laików nie jest w tym przypadku profanem? – był pożądanym bohaterem audycji mojej redakcji, a także prasy, która wtedy miała rubryki poświęcone nauce. Koledzy opowiadali sobie, jak Uczony ich przyjął, co powinno się wiedzieć idąc, na spotkanie z Nim, jakich pytań nie lubi, jakich zwrotów dobrze jest unikać.

Z długiej dopiero perspektywy wiem, że Profesor nas dziennikarzy wychowywał – w sposób czasem uciążliwy, ale owocujący pożytecznie w dalszej zawodowej drodze. Myślę, że moi ówczesni wrocławscy koledzy są Mu za to, podobnie jak ja, wdzięczni. Wywiad z Nim poprzedzony był zawsze przykazaniem, wypowiedzianym w pierwszych zdaniach rozmowy telefonicznej, gdy się o wywiad prosiło, żeby dziennikarz zapoznał się – przynajmniej – z podstawowymi danymi dotyczącymi biografii i dorobku, bo na informowanie o tym podczas spotkania poświęconego problemom naukowym Profesorowi szkoda czasu.

Myślę, że nie tylko mnie zwierzył się z sarkazmem, że zastanawia się nad tym, czy nie opracować jakiegoś równania, które ujmowałoby notorycznie popełniane w tym zakresie błędy: „Mylicie państwo moją datę urodzenia, miejsce, gdzie chodziłem do szkoły, zajęcia w czasie wojny itd., itp.” To zawstydzalo każdego, a ja czułam się szczególnie zobowiązana do poprawności z uwagi na zawodowe i towarzyskie kontakty Rodziców z, ówczesnie wrocławską, szkołą matematyczną, która rozwijała zastosowania matematyki w różnych dziedzinach, gromadząc na poświęconych temu spotkaniach lekarzy, filologów, inżynierów, ekonomistów...

Zastosowaniom przeznaczyłam niejedną audycję, zapamiętując na zawsze chyba słowa Profesora Juliana Perkala, jednego z uczniów i współpracowników Profesora Steinhausa, o tym, jak pracuje nad matematycznym modelem idealnego lekarza, czyli próbuje ująć we wzory liczbowe to, co u żywego lekarza jest intuicją, talentem, co każe mu dostrzec, nienotowane przez aparaturę, cechy

wyglądu pacjenta, wyczuć otaczającą go aurę, odczytać myśli towarzyszące chorobie... Okazało się to znacznie trudniejsze niż opracowanie modelu klawiatury maszyny do pisania, który udoskonalił poprzedniczki komputerów.



Popiersie Hugona Steinhausa dłuta Tomasza Rodzińskiego

Gdy we Wrocławiu powstał ośrodek telewizyjny, zwrócono się do Profesora Steinhausa o cykliczny program popularyzujący matematykę. Po spełnieniu postawionych przezeń warunków (nie wszystkie były łatwe) program ukazywał się przez dłuższy czas, zyskując dużą i stałą oglądalność. Warto w tym miejscu dodać, że w tamtych czasach nie dręczyli dziennikarzy zajmujących się nauką imperatyw czynienia z każdego przekazu rozrywki, ani wstawiane przez zwierzchników przeświadczenie, że odbiorca wytrzymał przekaz poważnej treści najwyżej cztery minuty albo półtorej szpalty w gazecie.

Od Profesora Steinhausa nauczyliśmy się pilnowania podstawowej rzetelności, odpowiadania za nią przed naszymi rozmówcami i – jak to dzisiaj widzę – również przed odbiorcami, choć oni zazwyczaj nie są w stanie jej sprawdzić. Ci z nas, którzy pośredniczą między światem nauki i społeczeństwem, zwani dziennikarzami naukowymi, przyswoili sobie także pewne sposoby popularyzowania rzeczy trudnych, mało znanych ogółowi – bez nadmiernych uproszczeń i trywialnych analogii.

W relacjach z Profesorem miałam małą wiktoria, powiedziała bym filologiczną. Wszyscy wiedzieliśmy, a niektórzy pamiętają, puryzm językowy tego wielkiego matematyka. Z upodobaniem poprawiał nieściśle użycia wyrazów, mieszanie znaczeń, zwykłe błędy. Zaczawszy rozmowę niezbyt oryginalnie: „Wrocławski ośrodek naukowy...”, usłyszałam: „Ośrodek to jest wnętrze chleba otoczone skórą” i odpowiedziałam natychmiast: „W chlebie jest ośrodek” – do dziś nie wiedząc, kiedy i od kogo to usłyszałam albo gdzie przeczytałam, będąc jednak pewną swojej racji. Profesor Steinhaus, trochę zdziwiony, odparł: „Sprawdź to, ale chyba ma pani rację”. Zapamiętałam, że należy sprawdzać, co nam inni mówią, ale zawsze się nad tym zastanowić.